

Adam Hernas

KILKA UWAG W SPRAWIE DOŚWIADCZENIA ZŁA

Doświadczenie ucieleśnionego w drugim zła należy do doświadczeń aksjomatycznych – znajduje się obok takich doświadczeń, jak doświadczenie piękna, dobroci, świętości – wyznaczających sens i przebieg innych obcowañ z człowiekiem. Zło jest raczej tym, co się zjawia, niż tym, co jest.

J. Tischner Filozofia dramatu

Zło, jako brak bytu, pojawia się wśród nas i wokół nas w najrozmaitszej postaci. Wyjaśnianie filozoficzne realnego zła obecnego w świecie dokonuje się przez wskazanie racji, czyli przez znalezienie przyczyn zła. Znalezienie zaś przyczyn zła jest uwarunkowane ogólną znajomością tzw. natury zła.

M.A. Krąpiec Dlaczego zło?

Czy nie jest zastanawiający fakt, że ekstremalne doświadczenia tzw. zła absolutnego uprzedzającego jakąkolwiek możliwość myślenia, które miały i ciągle jeszcze mają miejsce w naszych naznaczonych wszelkim okrucieństwem czasach, są do przetrzymania, że człowiek potrafi wychodzić z nich cało, chociaż powinien raczej po prostu ulec jakiejś wewnętrznej samodestrukcji, powinien popęlić raczej jakiejś odruchowe samobójstwo zamiast toczyć swą nieszczęśliwą walkę o przetrwanie, zresztą o przetrwanie czego? Doświadczenia zła radykalnego wymierzonego w samą istotę człowieczeństwa mogłyby przecież prowadzić wprost do zniknięcia człowieka, do naturalnej poniekąd eliminacji ludzkiego gatunku. Jeśli zło jest mu w sposób absolutny obce, powinno go eliminować pod

każdym względem – moralnym, fizycznym, metafizycznym. Tymczasem nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach człowiek zawsze „jakoś się zachowuje”, istnieje w taki sposób, jakby jego głęboka konstytucja była od zawsze przygotowana także na takie maksymalnie destrukcyjne wydarzenia. Być może ujawnia się tutaj w pełni, dość zresztą paradoksalnie, śmiertelność jako permanentna dyspozycja i dyspozycyjność do umierania, najbardziej naturalna gotowość do przejścia w niebyt. Być może wobec zła odslania się za każdym razem naga natura człowieka jako istoty śmiertelnej. Wobec zła, które zabija człowiek stawałby zawsze gotowy na śmierć, predysponowany przez swą śmiertelną naturę do tego, by istnieć w swej zwykłej ludzkiej formie jeszcze w chwili konania, by być sobą w umieraniu, i to w takim umieraniu, które nie liczy się z żadną możliwością przetrwania. Oto jedna z hipotez.

Zapytajmy jednak dlaczego, dzięki czemu człowiek wytrzymał czas apokalipsy? Dzięki czemu przetrwał, jako gatunek, bez nadziei? Czy rzeczywiście bez nadziei, czy tylko pozbawiony możliwości oczekiwania?

Symptomatyczność takiego doświadczenia, jak się wydaje, powinna być przedmiotem refleksji w nie mniejszym stopniu niż kosmiczna zagadka pochodzenia zła. Pytanie: „skąd cały ten bezmiar nieludzkiego zła?” nie jest wcale ważniejsze od pytania: „Jak jest możliwe, by człowiek przetrwał to zło absolutne, naruszające same podstawy jego istnienia?” Stawiając tak sformułowane pytanie należałoby zapytać także co najmniej o to, na czym takie przetrwanie polega, a także kim jest człowiek, któremu udało się przetrzymać tę metafizyczną katastrofę. Czy przetrwanie jest funkcją czasu, który – jak zwykle się mówić – leczy wszystkie rany; czy zdolność zapominania, jaką ofiarowuje nam, w pewnym sensie, niedoskonała pamięć, oznacza jedyny ratunek przed nieodwracalnym szaleństwem ocalonych? Czy ci, którzy przetrwali nie są raczej tragicznymi świadkami, okaleczonymi ofiarami posłanymi w świat tylko po to, by głosiły po wszystkich jego zakątkach okrutną potęgę zła. Kim jest człowiek, który przetrwał? Niezdolnym do myślenia bytem wysadzonym ze swej wątpliwej podstawy? Egzystencją pozbawioną racji istnienia, żyjącą na pobożowskich świata wartości, ponad którymi unoszą się ciepłe jeszcze dymy globalnej destrukcji? Ten człowiek odarty z instynktu rozpoznawania dobra i zła, to być bez sensu.

Pytanie: „czym jest zło i skąd się bierze?” poszukujące jakiejś teorii zła, być może pocieszającej odpowiedzi lub podpowiedzi, jak uchronić się przed nim w pewnej przyszłości, mimo tak wielu daleko posuniętych krytycznych przemyśleń, uporczywie stawiane jest na nowo. Czy w ogóle na tak postawione pytanie istnieje odpowiedź i jakiej odpowiedzi to pytanie oczekuje? Wszak używając słowa „zło” wiemy dość dobrze o co nam idzie. Kiedy mówimy „oto samo zło”, stajemy przecież bliżej lub dalej wobec śmierci – zbiorowa zagłada, brutalne zabójstwo, cierpienia i kalectwo, które zapowiadają umieranie. Stajemy wobec czegoś, co właśnie się dokonało, co dobiegło swego kresu, stajemy wobec skutku. Śmierć jest milczeniem i ciszą, jest nicością, unicestwieniem, które już się dokonało,

uspokojeniem skutecznego – by nie powiedzieć owocnego – terroru. Stąd narzucająca się odpowiedź – zło jest niczym, jest nicością, ale równocześnie druga odpowiedź – zło się dokonało, zło jest takim działaniem się, które zaprowadziło nas ku śmierci, jest taką akcją w konkretnym czasie i w realnej przestrzeni, która stawia nas wobec śmierci zadanej, wobec śmierci nie w porę. W tym sensie zło nie jest śmiercią, ale historią, która do niej prowadzi. Zło objawia swą skuteczność nicością, która niejako zapanowała nad światem dotkniętym zbrodnią i nieszczęściem. Milczenie ofiar to ostatnie „słowo” zła, które doprowadziło do końca swoje makabryczne dzieło w ludzkim świecie.

Z perspektywy takiego końca zło daje się poznać naocznie jako rozległe spuszczenie. Kiedy natomiast dokonuje się w czasie, kiedy starannie tka kolejne wątki zbrodni i nieszczęścia umyka naszym oczom, usypia czujność, nawet tę najbardziej wytężoną, jest dla nas zupełnie niewidoczne, choć z perspektywy fatalnego finału wyłania się jako rzetelnie zrealizowany scenariusz. Można powiedzieć, że zło dzieje się w naszym świecie pod naszą nieuwagę. Cierpliwie prowadzi rękę zabójcy, buduje hybrydalne struktury zbrodni, przecina ludzkie życie energią ślepego żywiołu. Zło to sam akt, który sprowadza śmierć, to czyn lub działanie, którego finałem jest zabicie człowieka, jednak akt zazwyczaj zupełnie niedostrzegalny, przynajmniej do czasu, kiedy nie osiągnie swej *złowrogiej* kulminacji.

Pytanie o zło, o jego zasadę, nie jest zatem wyrazem zupełnej poznawczej bezradności, nie jest więc pytaniem czysto retorycznym ani prostą ekspresją niemocy. Pytając wiemy cokolwiek o przedmiocie pytania, ponieważ zło musiało się nam jakoś już przytrafić. Pytając dajemy jednak wyraz naszej potrzebie rozumienia i to właśnie napotyka nieprzewidywalną barierę. Logika myślenia, potrzeba jasnego wyводу, dążenie do wyczerpujących wyjaśnień i klarownych rozstrzygnięć, a więc wszystkie wymogi poprawnego dyskursu stają w sprzeczności z „inwazyjną” naturą potencjalnego przedmiotu takiej teoretycznej refleksji. Zło nie jest materią obojętną, pozwalającą się łatwo zobiektywizować. Wobec zła nie można pozostać neutralnym obserwatorem, raczej kiedy się z nim stykamy, jesteśmy już w jakimś stopniu jego ofiarą. Zło wytłumaczone, zło obserwowane zazwyczaj jako to, co dzieje się gdzieś poza nami, nie oznacza żadnej rzeczywistości, ale np. problem moralny, problem metafizyczny, który może zostać podjęty teoretycznie, a nawet który może znaleźć swoje abstrakcyjne rozstrzygnięcie. Takie zło jest czymś posiadającym swoją rację i w pewien sposób także czymś dopuszczalnym albo pozostającym w granicach błędu, np. hitleryzm jako konsekwencja rozkładu demokracji niemieckiej, obozy śmierci jako przypadkowe dzieło psychopatów, krwawa wojna tłumaczona splotem uwarunkowań ekonomicznych.

Natomiast zło, którego doświadczamy bezpośrednio, to sama groza faktu, to pewna nieprzewidywalność tego, co się wydarzyło – jako zło spotyka nas zazwyczaj coś gorszego niż to, czego w ogóle mogliśmy oczekiwać, samo zło to „gorzej niż źle”.

Zło jest zatem powiązane ze śmiertelnością. Każda postać zła przyczynia się pośrednio lub bezpośrednio do śmierci człowieka. Szkodzi mu w taki sposób, by ostatecznie doprowadzić do jego zagłady. Można by wręcz sformułować hipotezę, że ludzkie bycie wystawione jest na działanie zła w takiej mierze, w jakiej jest byciem śmiertelnym. O ile jednak śmierć naturalna, śmierć w czasie, śmierć jako zamykające ukoronowanie bogatego życia należy do ludzkiej kondycji, jest częścią jego światowego istnienia, o tyle trzeba powiedzieć, że zło przyczynia się do śmierci nienaturalnej, przedwczesnej, do śmierci nie w porę, że przyczynia się na różny sposób do zabójstwa, a nawet więcej, że jego ostatecznym celem jest po prostu zabicie człowieka. Zło pracuje nad zniszczeniem ludzkiego gatunku, jego strategia jest dalekosiężna. W osobliwy sposób kumuluje swoje najdrobniejsze przejawy, zbiera wszystkie swoje siły, aby w ogólnym planie doprowadzić do śmierci, choćby tylko pojedynczego człowieka, zrealizować scenariusz zbrodni utkany z błahych, mnożących się i pozornie nieistotnych wątków. Zabójstwo to apogeum zła, to jego widzialny tryumf. Małe zło przygotowuje grunt pod zło ostateczne. Drobnie potknięcia są zapowiedzią końcowej katastrofy. Nawet złamanie moralne człowieka, odebranie mu całej jego godności, rozbudzenie w nim najniższych, zwierzęcych instynktów, doprowadzenie go do rozpacy dokonuje się ostatecznie w perspektywie jego tragicznej i najczęściej zbrodniczej śmierci.

Dotknięcie przez zło otwiera w człowieku ukrytą skłonność do zbrodni. Być może w takim sensie należy mówić, że wszyscy jesteśmy przez zło dotknięci (idea grzechu pierworodnego), a w konsekwencji, że nosimy w sobie tę ukrytą i może nigdy w naszym życiu nie ujawnioną skłonność do bycia zabójcą, pewien nieuleczalny syndrom Kaina. Być może jednak jesteśmy ciągle zabójcami nic o tym nie wiedząc, być może wypełniamy ukryty scenariusz zbrodni przyczyniając się naszymi, pozornie nic nie znaczącymi czynami lub bezczynnością do tego, że ktoś traci życie przed czasem, że ktoś pozbawiony zostaje szansy przetrwania, że dla kogoś zabraknie miejsca w danym układzie międzyludzkich stosunków. Ukryta brutalność, przemoc umiarkowana, w której, być może całkiem nieświadomie, bierzemy udział każdego dnia, czy nie jest elementem pewnego procesu panoszenia się zła, które zakorzenia się i rozrasta bez naszej wiedzy do czasu, kiedy otwarcie ujawni się cały ogrom spustoszenia, porażając nas bezmiarem pustki, wobec której, kolejny raz, pozostaniemy bezradni.

Czy taki plan rozumienia zła zakłada i opiera się na twierdzeniu o jego inteligentnym charakterze? Czy zło w takiej koncepcji jest inteligencją?

Zdaje się, że nie jest to teza konieczna. Jeśli bowiem zło rzeczywiście prowadzi do zbrodni zabójstwa, jeśli ten najogólniejszy cel jego działania daje się rozpoznać, to w gruncie rzeczy wszelkie metody i taktyki osiągnięcia takiego celu muszą mieć drugorzędne znaczenie i wcale nie świadczą o jakimś racjonalnym i inteligentnym charakterze zła. Zabójstwo jako punkt docelowy nie zostawia żadnego miejsca dla filigranowych rozgrywek. Taktyka schodzi na dalszy plan wobec totalnego zamiaru. Inteligencja czy ślepa siła – nie ma to żadnego znaczenia jeśli przyjmiemy, że jedynym celem „akcji” zła jest zabić człowieka.

Czy zdanie sobie sprawy z tego faktu wystarcza, aby uchronić się przed tą radykalną perspektywą bycia zabójcą? Czy zatem czujna wierność przykazaniu „nie zabijaj” może nas uchronić przed różnymi formami mniejszego zła, które zostaje niejako zneutralizowane przed czasem?

Świadomość i pamięć niewątpliwie odgrywają ogromną rolę jako sposoby zabezpieczenia przed taką formą zła absolutnego. Czy jednak ich permanentna czujność wystarcza, aby oddalić niebezpieczeństwo ukrytej penetracji, niebezpieczeństwo tych wszystkich działań i zaniechań, których odległych skutków nie możemy przecież nigdy do końca przewidzieć? Czy rozumność układania wzajemnych stosunków między ludźmi, ale także racjonalne odniesienie do samego siebie stanowi dostateczną gwarancję ochrony życia w ogóle, skuteczną samoobronę? Czy rozum jest nietykalny przez zło, czy też raczej bierze udział w jego złośliwej grze, na co zdają się przecież wskazywać tragiczne doświadczenia współczesności, w grze, w której gra on ostatecznie przeciw samemu sobie? Nie ma oczywiście łatwych odpowiedzi. Wydaje się jednak, że sprawa zła toczy się w nieco innym krajobrazie niż ten wyznaczony linią napięcia między rozumnością a jakąś istotną irracjonalnością określaną zwykle terminem „ślepa przemoc”.

Zło dzieje się i to dzieje się w czasie. Jego dzieje to pewna chronologia ludzkiej niepomyślności, to wydarzenia i, jak się zazwyczaj na koniec okazuje, logiczny rozwój wypadków, to również historia mająca swój punkt kulminacyjny. W tym sensie mówi się, że zło wchodzi w czasowy świat człowieka, że świat zostaje przez nie zaatakowany. W takiej mierze, w jakiej zło dzieje się w czasie, również w czasie istnieje. Stwierdzenie „zło istnieje, zło jest” znaczyłoby w takim sensie, że jego horyzontem jest światowy horyzont istnienia. Zatem „zło jest” znaczyłoby, że dzieje człowieka zawierają nieodłączny wątek dziejów zabójstwa, że w ludzkim czasie dzieje się zabijanie. Ludzka śmiertelność wyznacza jakąś linię dyspozycji do tego, by zabić lub zostać zabitym. Jednak cała powszechna śmiertelność nie stanowi właściwego ośrodka kondensacji zła. Dopiero szczególny jej modus – śmierć nagła (jakkolwiek w niektórych okresach historii tak samo przecież powszechna i codzienna), przerywająca nieoczekiwanie i przed czasem to ludzkie życie, które się właśnie toczy w swoim stadium rozkwitu, zwłaszcza życie młode, życie dzieci, naznaczona jest wyraźnym stygmatem zła. Śmierć będąca skutkiem zabójstwa – czynu innego człowieka, ale chyba również śmierć jako nagły wypadek – skutek działania nieosobowych, wrogich człowiekowi sił¹, takich jak śmiertelne choroby czy nagłe, nieprzewidywalne kataklizmy zbierające bezlitośnie swoje wielkie żniwo. Mówiąc zatem dokładniej, dzieje zła to dzieje umierania przed czasem, dzieje utraty życia, które nie zostało dokończony, którego nie zdążono przeżyć do końca. „Zło jest” znaczy, że na świecie

¹ W takich sytuacjach nie jest rzeczą dziwną nawyk stosowania słowa „zabity” – ktoś został zabity w wypadku, kogoś zabiła śmiertelna choroba. Umieranie przed czasem, w całej tragicznej sprawie odbierane jest dość powszechnie w wyraźnej analogii do zabójstwa.

umiera się nie w porę, a także, że umiera się jakby niewłasną śmiercią². Wszystkie ludzkie niepowodzenia i udręki, jakie zwykle się sprowadzać do pojęcia zła noszą na sobie taką cechę szkodliwości wymierzonej bezpośrednio w samo istnienie człowieka.

Po tym, co zostało dotąd powiedziane, widać jasno, że bierzemy tutaj stronę takiej koncepcji zła, która odmawia mu jakiegoś konkretnego, mniej lub bardziej materialnego sposobu istnienia, jak również, która nie traktuje go jako brak zachodzący w czymś konkretnym, brak w bycie. Zło nie istnieje jako coś, zwłaszcza jako pozytywne przeciwieństwo dobra, jako drugi biegun dualnego układu, nie jest też brakiem zachodzącym w czymś realnym, w bycie, to znaczy brakiem zawsze możliwym do wypełnienia, potencjalnie usuwalnym. Niemniej jednak skutki takiego „niepojętego” i „nierzeczywistego” zła są na wskroś realne i konkretne. Można nawet powiedzieć, że atakuje ono sam środek konkretnego świata i że w takim sensie przysługuje mu, paradoksalnie, pewna szczególna realność.

Dlatego nawiązaliśmy do formuły „zło jest”, nadając jej nieco odmienne znaczenie. Potoczne i zdroworoządkowe powiedzenie, że zło istnieje nie jest bynajmniej wyrazem jednej określonej, i rozpoznanej jakoś intuicyjnie teorii. Powiedzenie to wyraża natomiast proste przekonanie, że zło szkodzi człowiekowi, a skutki tej szkodliwej działalności są widoczne gołym okiem, są na wyciągnięcie ręki, są na wskroś realne. Zło szkodzi człowiekowi i nie można temu zaradzić, ponieważ działa ono jakby z ukrycia, spoza dostępnej mu realności. Zło wdziera się w ludzki świat i pozostawia w nim destrukcyjne skutki swej niepojętej ingerencji. Te skutki, jak zwykliśmy mówić, są złe, ale wcale nie oznaczają zła samego. Złe skutki są świadectwem działania nieznanego i ukrywającego się przed nami lub całkowicie nam niedostępnego (obcego) zła, są śladami, jakie to niewidzialne zło pozostawia w materialnym świecie, do którego, jak się zdaje, wcale nie należy i którego nie jest stałym, nieodłącznym elementem.

„Zło jest” ma zatem dla nas sens: dzieje się wokół nas przemoc, która prowadzi do zabójstwa, człowiek pada ofiarą przemocy, albo jest jej bezpośrednim sprawcą. Człowiekowi nieustannie grozi śmierć, nie w takim znaczeniu, że zbliża się do niego naturalny moment umierania, końca życia, ale że przebywa on w strefie zagrożenia nagłą śmiercią dosięgającą go z zewnątrz, zaskakującą nawet tych wszystkich, którzy wydają się na nią zawsze dobrze przygotowani. Umieranie znaczy zwykle śmierć własną, mającą swe przyczyny w samej fizycznej naturze człowieka – starość, choroba, wyczerpanie życiowych sił. Śmierć nagła to ginienie spowodowane przyczyną zewnętrzną, spowodowane agresją, która zostaje skierowana na fizyczną kruchość i niejako tę kruchość wyzyskuje. W wymiarze cielesnym człowiek jest wprost podatny na przemoc. Ludzkie ciało „nadaje się” do tego, by mu zadawać gwałt, a w pewnym sensie samą swą delikatną konstruk-

² Stąd największym skandalem jest śmierć dziecka i to zwłaszcza dziecka niewinnie zamordowanego, śmierć, w której zawsze widziano samo apogeum zła, jego demoniczny wymiar.

cją prowokuje do użycia przemocy. W wymiarze materialnym ludzkie ciało jest po prostu słabą materią, materią łatwo ulegającą zniszczeniu.

„Zło jest”, zwłaszcza w znaczeniu „zło jest w człowieku”, „zło włada człowiekiem”, znaczeniu, które spotyka się przecież dość powszechnie, wyraża przekonanie, że to człowiek realizuje fatalny scenariusz zbrodni, stając się jak gdyby emisariuszem „Złego”, o czym najczęściej w ogóle nic nie wie, przynajmniej dopóki nie zobaczy rozległych skutków swej niszczycielskiej działalności. Mówiąc o inteligencji zła być może należałoby raczej mówić o ludzkiej inteligencji, która zostaje w pewien sposób podstępnie wyzyskana przez samą siebie. Złudzenie, błąd, fascynacja i zaślepienie pewną ideą to swoiste pułapki, jakie rozum zastawił na samego siebie, domykając bezwiednie błędne koła własnego myślenia. O tym, jak łatwo takie myślenie może prowadzić do zbrodni, w dzisiejszych czasach nie trzeba nikogo przekonywać.

Zło szkodzi człowiekowi. Każde zło, nawet to codzienne i banalne wymierzone jest przeciw niemu. Jego doraźne, negatywne skutki, przejawiające się jako przejściowe niepowodzenia, są w rzeczywistości zapowiedzią właściwej szkodliwości wymierzonej w samą zasadę istnienia – dla człowieka nie ma miejsca na tym nieudomowionym jeszcze świecie, który próbuje on daremnie oswajać. Zło przychodzi niejako spoza świata, jednak spoza świata ludzkiego, spoza tego świata, który został już przez człowieka mniej lub bardziej opanowany. Być może prawdziwym siedliskiem zła, jego matecznikiem jest świat całkowicie przedludzki, taki świat, którego człowiek nie może znać, który jest dla niego w istocie jakimś zaświatom. Być może zło przychodzi z zaświatów nieobecności.

Obecność widzi obecność. Nie zatrzymuje wzroku na światowym „Jest”. Widzi ona człowieka niejako w pryzmacie nieczasowości, niejako zawsze już wychyłego poza swoje czasowe środowisko, a zatem również uwolnionego od zasady dystansu. W perspektywie obecności człowiek nie może stanąć naprzeciw mnie jako obcy. W swoim „jestem” zostaje przygarnięty w nieświatową przestrzeń obcowania. „Jestem” znaczy przecież także „jesteśmy”, a to „Jesteśmy” pod każdym względem uprzedza jakkolwiek więź ja–ty, my–wy. „Jesteśmy” to inna nazwa przestrzeni obcowania, w której zło jest bezskuteczne, ponieważ pozbawione zostaje swojego podstawowego tworzywa i pokarmu – czasu. Zło nie może się dziać, zabójstwo nie dochodzi do skutku tam, gdzie brakuje dramatycznej przestrzeni i czasu, w których mogłaby się rozwinąć akcja dramatu. Obecność to w pewnym sensie pozostawienie na boku tej historii, z której żyje, i w której się przejawia zło. Obecność niesprowadzalna do bycia, ale również nieprzeciwstawiająca się byciu, ani niekrzyżująca się z nim, nie spotyka zła pod postacią nieobecności. „Jestem” patrzy inaczej, ponieważ jego widzenie nie jest horyzontalne, nie potrzebuje różnych perspektyw organizujących to jego widzenie. Patrzenie z wnętrza światowego bycia wpisane jest w horyzont, który pełni rolę układu odniesienia dla wszystkiego, co zostaje zobaczone. Te dwa odmienne patrzenia nie spotykają się ze sobą, nie mogą się nawzajem zobaczyć. Obecność w ludzkim byciu widzi tylko obecność. Zło rozumiane jako nieobecność to patrzenie w wymiarze świa-

towego bycia, które potrafi widzieć samo tylko bycie. Obecność odwołująca się do nieświatowego „Jestem”, przywołująca do najbardziej własnego „jestem” w takim czasowym byciu, które nie rozpoznało swego „Jestem” i nie stawiło się jako obecność, natrafia na nieobecność, natrafia tylko na milczenie, które znaczy brak odpowiedzi, ale znaczy także ciszę, w której takie zwracające się wezwanie zaginęło, nie zostało w ogóle usłyszane. Bycie pozostaje wówczas ślepe na obecność, stąd zdolne jest do zabójstwa. Zdolne jest widzieć swoje potencjalne ofiary tylko horyzontalnie jako napotkanych obcych, stojących na jego drodze. Można ich wyminąć, można z nimi rozmawiać i z nimi się układać, można ich jednak usunąć z drogi jak usuwa się każdą inną przeszkodę ograniczającą swobodę ruchu. Człowiek pojmowany jako pewien sposób bycia nie jest zdolny widzieć innych ludzi inaczej niż w wymiarze temporalnego „jest”. Zło wyzyskuje tę „nieobecność”, redukując wszystko do jednego tylko horyzontu bycia i dając swoiste przyzwolenie na nieskrępowane istnienie i na swobodne dysponowanie dystansem, co musi oznaczać ostatecznie również legitymizację zabójstwa.

Spotykając ludzkie ja, widzi się jego dążenie do utrwalania dystansu poprzez budowanie szczelnego otoczenia „mojności”. Każde ja naznaczone jest takim oddaleniem, taką separacją i, w pewnym sensie, taką samotnością. Może się ono stać dla mnie partnerem, może pozostać przygodnie spotykanym przechodniem, może być moim przyjacielem albo przeciwnie – moim śmiertelnym wrogiem, jednak w perspektywie światowego istnienia nigdy nie będzie dla mnie, we właściwym sensie, bliźnim. Bycie bliźnim opiera się na rozpoznaniu obecności, a więc na „zawieszeniu” dystansu, na bliskości. Zło dzieje się pomiędzy ludźmi w pustej przestrzeni dystansu. Dystans, który pozornie służy byciu człowieka, obraca się w rzeczywistości, pod dotknięciem zła, przeciw ludziom, staje się powoli przestrzenią rywalizacji i walki, „walki o byt”.

Obecność, jakkolwiekby to brzmiało absurdalnie, przywołuje do obecności, odwołuje się do – i powołuje na – „Jestem” innych ludzi i dlatego widzi w nich zawsze jedynie bliźnich. Ignoruje ich bycie kimś, ignoruje ich nietykalne ja, traktując ich bezwarunkowo jako domowników, jako najbliższych. Drugi, w swej obecności, nie jest zatem kimś innym, ale zawsze już kimś ze mnie samego. Moje „Jestem” mieści się, w pewien sposób, w jego „jestem”, stąd tę osobliwą sytuację wzajemności nazywamy obcowaniem. Zło, jak się wydaje, jest z zasady niemożliwe tam, gdzie brakuje wolnej przestrzeni „między”.

Mówienie o dobru, w takim kontekście, mogłoby mieć sens jedynie na zasadzie istotnej odrębności wobec tak właśnie niemożliwego zła. Dlatego dopuszczalne zdaje się tutaj twierdzenie, że obecność wyznacza jakąś formę dobra jako rzeczywistości, w której zło w ogóle nie może się realizować, jako rzeczywistości szczelnej, dokładnie wypełnionej, a zatem takiej, w której „brakuje miejsca dla zła”, w której nie ma wolnej szczeliny pozwalającej na erozyjne jego działanie. Takie dobro nie mogłoby znaczyć pewnego stanu, w którym brakuje zła, ale raczej w którym zło nie znajduje dla siebie wolnego miejsca. Obcowanie to termin określający przestrzeń obecności pozbawioną takiej pustki rozdzielającego

dystansu, odstępu, który musiałby oznaczać jakąś nieobecność. Zło nie zostaje w tę przestrzeń wpuszczone, jakkolwiek nie może to wcale znaczyć, że obecność byłaby swoistym remedium na zło świata, pewnym środkiem obronnym, metafizycznym antybiotykiem. Raczej kryje się w tym intuicja o niesprowadzalności do siebie tych całkiem odmiennych porządków, różnych kosmicznych konstelacji, które na siebie nie mogą oddziaływać. Obecność nie ma chronić przed złem, ale jest w pewnym sensie po prostu przez zło nietykalna, jest dla niego jakby absolutnie nieosiągalna, a nawet w ogóle dla niego „nie istnieje” – obecność niewzruszona na samym dnie rozpaczy, „jestem” mówiące także językiem przerażenia i bezsilności, mieszkające także w najgłębszej ludzkiej nędzy.

Przedstawiona tu, w ogólnym tylko zarysie, interpretacja nie chce być i w istocie nie jest zamkniętym, prostym schematem, w którym miejsce dobra i zła, przeciwstawionych sobie w tej samej płaszczyźnie, miałyby zająć teraz obecność i nieobecność. Nie ma prostego znaku równania między obecnością a dobrem. Byłoby to zbyt daleko idące uproszczenie. Podobnie zło nie oznacza tu wcale każdej nieobecności. Chodziło nam natomiast przede wszystkim o pokazanie zasadniczej nierównorzędności i niesprowadzalności do wspólnego mianownika obecności i zła. Całe nasze rozważanie musi zostać usytuowane w krajobrazie ludzkiego bycia, które pozostaje niezmiennie i w pewnym sensie nieodwołalnie otwarte na obecność, na rozpoznawanie swojego, a jak się okazuje również nie swojego, „jestem”, ale które jednocześnie wystawione jest na niszczycielskie skutki zła uparcie dającego się mu we znaki. Obecność, którą określiliśmy jako wychylenie się z bycia, wystawia to bycie na ryzyko dotknięcia przez zło, chociaż sama, nie będąc z wymiaru bycia, nie wchodzi z nim w żaden bezpośredni związek. Bycie, nie rozpoznające się w swoim „jestem”, naznaczone jest jakąś nieobecnością, co jednak wcale nie oznacza, że jest od razu złe. Takie bycie jest natomiast podatne na to, by stać się twórcywie dziejącego się w świecie zła. Metaforą złowrogiej nieobecności może być, w takim kontekście, sytuacja, w której wrogowie, spotykający się w bezpośrednim wojennym starciu, nie widzą się wzajemnie, i co więcej, w ogóle nie mogą się zobaczyć. Ten, który zna obecność, zobaczy człowieka jako obecność, zobaczy nieszczęśliwego bliźniego, który jest jego wrogiem jedynie w kategoriach politycznych, zasadniczo przez niego nieakceptowalnych. Ten, który patrzy tylko w wymiarze bycia, widzi obcego, widzi przeciwnika, śmiertelnego rywala, któremu odmawia prawa do istnienia w imię wyznawanych przekonań i wyższych politycznych racji. Jego wymagające i troszczące się o siebie bycie daje mu niejako upoważnienie do tego, aby zabić. Wielki tragizm tej metaforycznej sytuacji polega na tym, że obecność nie daje zgody na zabójstwo i dlatego wystawia ludzkie bycie na zgubę, niejako je poświęca. Jego bycie w tej walce postawione jest jakby na z góry straconej pozycji, jako zawsze już namaszczone do tego, by stać się ofiarą ślepej przemocy.

Obok tego, co zostało już powiedziane, trzeba jeszcze zwrócić uwagę, że bez względu na sposób, w jaki będzie się rozumiało stosunek zła do cierpienia, w cierpieniu i poprzez cierpiącego człowieka obecność odsłania się szczególnie wyraźnie.

Torturowane ludzkie bycie tracące panowanie nad sobą, bycie w przedłużającej się agonii, bycie osamotnione i odrzucone przepuszcza przez siebie samą obecność. Cierpienie przykuwające człowieka do chwili, redukujące jego wielowymiarową temporalność do surowego „teraz”, z którego nie ma wyjścia, ani w kierunku tego, co było, ani w stronę tego, czego można by jeszcze jakoś oczekiwać, takie cierpienie należałoby rozumieć jako właściwy krzyk „jestem”. Ludzie cierpiący, ogołoceni ze swego zwyczajnego bycia są samą ekspresją obecności. Taka obecność jest wyrzutem dla spokojnej, zajętej sobą egzystencji, pozostającej zawsze gdzieś na zewnątrz. Wyprowadza ją z równowagi i przywołuje do obecności, do obecności z cierpiącym.

Cierpienie, w przeciwieństwie do bólu, który nosi na sobie zawsze pewną oznakę tymczasowości, który chociaż nie pozwala na dystans, budzi w nas odruch oporu, naturalnego nastawienia na przetrzymanie, to swoista pułapka zamykająca wszystkie drogi odwrotu i ucieczki. Cierpienie bezwarunkowo opanowuje wszystkie aspekty naszej rzeczywistości, ból zagarnia dla siebie tylko jakiś czas, pozwala bowiem nie tylko mieć nadzieję, ale także oczekiwać, że przetrzymując ten zły czas powrócimy w końcu do normalnego życia. Stąd ból może zostać złagodzony albo w ogóle fizycznie opanowany, np. za pomocą farmakologicznego środka. Stąd też ból często jest objawem zdrowienia, pozytywnego zmagania się organizmu z chorobą. Nawet wówczas, gdy skutek bólu nasz świat kurczy się do bieżącej chwili, tak jak dzieje się to w sytuacji cierpienia, ból i tak pozostaje czymś względnie zewnętrznym, pewną dokuczliwą, czasem wręcz paraliżującą, ale przejściową przypadłością, która się nam raczej tylko przytrafia, choć naturalnie może się przytrafiać nierzadko. Cierpieniem jesteśmy natomiast my sami. Cierpienie staje się wprost naszym sposobem bardziej lub mniej ograniczonego bycia. To właśnie poprzez takie zubożenie istnienia, poprzez tę spychaną, a ostatecznie w ogóle zepchniętą do jakiegoś absolutnego minimum, egzystencję, obecność może dojść do głosu, może przemówić pełnym głosem.

Ból przechodzi w cierpienie, w prawdziwe, śmiertelne cierpienie wtedy, gdy z możliwej do przetrzymania, czasowej przypadłości przekształca się w stałą właściwość istnienia, w sposób bycia cierpiącego człowieka. Ból, przede wszystkim fizyczny, jest wówczas prostą oznaką umierania, jest symptomem wydłużonej agonii, stanem terminalnym, który ogarnia całego człowieka. Człowiek postawiony na krawędzi własnego istnienia, cierpiąc, trwa zamknięty w chwili teraźniejszej, niejako do niej przykuty. Żyje tylko własnym, aktualnym cierpieniem, całkowicie ogołocony z innych wymiarów czasu.

Mogłoby to wskazywać na fakt, że bycie w pewien sposób przysłania obecność, zwłaszcza kiedy manifestuje się jakimś jednostronnym rozmachem „mojności”, kiedy zagarnia dla siebie cały czas, jak gdyby się w nim swobodnie panosząc. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są dla niego stadiami jednorodnego upływu, w którym to pochłonięte sobą bycie „się pławi”, w którym spełnia się zarazem całe dobrodziejstwo jego bytowania. Być człowiekiem znaczy dla niego być własnym czasem, mieć wyłącznie dla siebie swój własny czas. Człowiek cierpiący nie ma czasu nie tylko dla siebie, ale nie ma go w ogóle. Jego egzystencjalny status w kate-

goriach zwyczajnej czasowości można by nazwać *byciem hybrydalnym*, w którym spotykają się i w pewien sposób łączą ze sobą wymiar temporalny i eschatologiczny. Bycie „tu i teraz” cierpiącego człowieka nie jest żadnym przejściem od–do, ale powstrzymaniem upływu czasu i dyskretną zapowiedzią beczasowości.

Podjęmowana ciągle od początku refleksja nad złem, mimo swej jałowej bezradności, to nie tylko świadectwo ludzkiej niedoli, ale o wiele bardziej nieustanna próba dystansowania się wobec zła, które nas bezpośrednio dotyka, próba profilaktycznego wytworzenia dystansu wobec czegoś, co w bezpośrednim doświadczeniu niweczy każdą odległość, co wciąga w swą grę nie pozwalając na zajmowanie biernej pozycji obserwatora. Zło potrzebuje uczestników, potrzebuje aktywnych złoczyńców i bezradnych ofiar. Tylko ci, którzy przeszli przez jego ogień znają tę niemożliwość patrzenia z zewnątrz. Zło widziane z oddalenia staje się co najwyżej trudnym problemem, warunkiem egzystencji, z którym musimy sobie radzić i z którym jakoś przecież żyjemy. Zło doświadczane to niepojęty horror istnienia kwestionowanego w swej podstawie, to wręcz doznanie niemożliwości istnienia. Takie nieusuwalne napięcie między problematycznością i niepojmowalnością, jak się wydaje, wyznacza swoisty epistemologiczny status zła.

Jednocześnie przejawia się tutaj nieodparta potrzeba poznania za pomocą intelektu i to tak zwanego poznania źródłowego, które dostatecznie i do końca rozjaśniłoby zarówno sprawę pochodzenia, jak i natury zła. Nie zaspokaja tej potrzeby religijne czy mityczne rozstrzygnięcie, sytuujące się zwykle na linii stosunku: Bóg, bóstwo, idea – człowiek i odwołujące się do ludzkiej wrażliwości na tajemniczy aspekt egzystencji. Świat zakażony przez zło można akceptować jedynie aktem wiary w pewne przemożniejsze dobro. Zło, które mnie dotyka w różnych postaciach, można, w takiej perspektywie, przetrzymać duchowym aktem oporu, który mógłby wyrazić się także w formie lamentu lub skargi, ale który nie jest nigdy buntem, chociaż niewątpliwie oznacza niezgodę na taką niedoskonałą rzeczywistość. Religijny lub heroiczny akt oporu wobec dziejącego się zła jest w gruncie rzeczy przejawem jakiejś wierności również wówczas, gdy przedmiot wierności nie jest jasno określony, a zwłaszcza kiedy nie jest nim podniosła idea lub jakaś wyraźna wartość, np. pomoc medyczna nieuleczalnie chorym niesiona w imię zasad sztuki lekarskiej. Wiara w dobro o wiele bardziej pozwala wytrzymać sytuację bycia dotkniętym przez zło, przede wszystkim sytuację bycia ofiarą, niż zmagać się z mniej lub bardziej teoretyczną kwestią zła dziejącego się dookoła. Takie dobro popycha raczej do aktywności wobec dziejącego się zła i w tym sensie nie pozwala być jedynie obserwatorem nawet wówczas, gdy właściwie na zdrowy rozum nic nie można już zrobić. Religijne lub mityczne wyjaśnienie zła służy zatem raczej uzasadnieniu permanentnego zaangażowania się w sprawę każdego zła, jakie ma miejsce na świecie – każde zło dotyczy mnie osobiście, dlatego nigdy nie mogę być tylko obserwatorem, zawsze już jestem jakoś w nie wplątany, zawsze też jestem uczestnikiem jego nikczemnej gry. Wiara w dobro, w pewnym sensie, nie ma warunków do tego, aby zapytać o pochodzenie zła, ponieważ znajduje się zawsze w kręgu jego bezpośredniego oddziaływania, zawsze już jest przez zło poruszona i sprowokowa-

na do wzięcia udziału, do bycia w samym wnętrzu doświadczenia. W wymiarze poznawczym zaś zatrzymuje się ona jedynie na konstatacji niepojętej tajemnicy – prehistoryczny upadek, grzech, odwieczna walka żywiołów itp.

Potrzeba poznania może się więc z perspektywy tak rozumianej, akceptującej świat, wiary w dobro wydawać zwykłą próżnością. Czyżby więc, mając na uwadze jak silna to potrzeba, miała ona świadczyć o braku wiary w dobro, a także o niezgodzie, a nawet więcej, o buncie przeciwko takiemu światu, w którym dzieje się tak wiele zła? Czyżby nieustanne próby rozumienia, pozwalające dystansować się wobec bezpośredniego doświadczenia i, co za tym idzie, problematyzować zło, były po prostu unikiem przed bezwarunkowym wzięciem na siebie sprawy zła, czy byłyby swoistą dezercją, ucieczką na stronę czystej teorii? Czy zaprawianie się w takiej chłodnej wiedzy o faktach, które dzieją się obok nas, ale nas wprost nie dotyczą, ma szansę choć trochę poprawić naszą pozycję w chwili, kiedy i nam przytrafi się to, o czym próbujemy nieustannie myśleć, czy będziemy wtedy zdolni unieść tę brutalną niesprawiedliwość zła bardziej godnie? Czy może raczej odwrotnie, taki sposób racjonalizowania zła świadczy o popadaniu w zwyczajną iluzję, może jest tylko metodą uspokajania lub usypiania sumienia? Czy jednak nie warunkuje to w pewnym sensie „normalnego” życia w tym świecie, gdzie stale ma miejsce ów skandal pogwałcenia istnienia? Być może racjonalizacja i problematyzacja dziejącego się zła, która musi znaczyć pewne zobojętnienie na ów skandal obok nas, jest po prostu warunkiem możliwości zwyczajnego życia w codzienności, a zatem także samej codzienności jako pewnego modus ludzkiego czasu. W takim sensie codzienność byłaby możliwa tylko poprzez akceptację zła jako nieusuwalnego wymiaru naszej ludzkiej rzeczywistości. Zgoda na to sproblematyzowane zło warunkowałaby wówczas zwyczajne życie człowieka, które w ten sposób nie musiałoby być permanentną walką lub niekończącym się protestem. Ale też z drugiej strony nasze próby racjonalizowania zła mogłyby być wtedy pojmowane jako szczególne formy lamentu i skargi.

„Słuchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze zagrożona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliznie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach, i że nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście”³.

SOME COMMENTS ON THE QUESTION OF EXPERIENCING EVIL

The author's in depth analysis concern several questions: “Where does the immenseness of human evil comes from?”, “How is it possible for a human being to survive experiencing absolute evil striking at the very base of human existence?”, “What is this survival?”, “Who is the the man, who was able to go through this metaphysical catastrophe?”.

³ A. Camus *Dżuma*, przeł. J. Guze, Warszawa 1960, s. 312.